

# Rekolekcje Wielkopostne - Wierzyć dzisiaj

Drukowanie poniższego tekstu jest możliwe pod warunkiem zachowania w tekście drukowanym informacji znajdującej się w stopce każdej strony.

## III Niedziela Wielkiego Postu

---

### Nauka 19 – Bóg nie pozwolił mi umrzeć

I drugie, niezwykle świadectwo wiary i ufności w nawale cierpień spadających na rodzinę ...

Kiedy go czytam, przypomina mi się jako żywo historia Hioba, który głęboko doświadczony przez cierpienie nie przestaje powtarzać: „**Nagi wyszedłem z łona matki i nagi tam wróce. Dał Pan i zabrał Pan. Niech będzie imię Pańskie błogosławione!**” (Hiob 1:21)

\*\*\*\*\*

### Bóg nie pozwolił mi umrzeć.

Nie mogę pisać tylko o moim doświadczeniu cierpienia, lecz o naszym wspólnym - małżeńskim i rodzinnym. Jesteśmy małżeństwem od 18 lat.

Połączyło nas Duszpasterstwo Akademickie, razem przeżywane rekolekcje, obozy letnie i zimowe, pielgrzymki na Górę św. Anny, do Częstochowy - zwłaszcza ta Warszawska. Wspólnie przeżywaliliśmy burzliwe lata osiemdziesiąte. Nie mogę nie wspomnieć, że oboje mieliśmy podobne zainteresowania - studiowaliśmy na wydziale lekarskim na tym samym roku, a po ślubie w tej samej grupie dziekańskiej. Pierwsze lata naszego małżeństwa nie były wolne od trosk. W związku z bardzo niskimi poborami nasze portfele były często puste, ale w takich momentach na pomoc przychodziła nam nasza ślubna Ewangelia o liliach na polu i ptakach.

Te właśnie słowa przywracały nam zaufanie w Bożą Opatrzność, które nigdy nie okazało się daremne. Wcześniej czy później nadchodziła niespodziewana pomoc - zawsze adekwatna do naszych potrzeb (nigdy więcej!).

Powoli dojrzewaliśmy do cierpienia w naszym życiu małżeńskim i rodzinnym.

Poprzez diagnozowanie niedomagania Janusza (męża), które napawało mnie lękiem (mieliśmy już ponad dwupółroczną córeczkę), poprzez zagrożenie życia dziecka, które nosiłam pod sercem (tzw. ciąża zagrożona) i późniejsze choroby synka - przyszło na nas największe doświadczenie.

Zaczęły mnie nękać coraz bardziej dokuczliwe bóle głowy, pogarszała się też moja wydolność fizyczna. Razem z mężem uważaliśmy to za objaw przemęczenia i znerwicowania - było to najlogiczniejsze wytłumaczenie. Etat dzielony między oddział dziecięcy i poradnię dla dzieci, związane z tym dyżury szpitalne, przygotowywanie się do specjalizacji z pediatrii i prowadzenie domu...

Równocześnie Janusz pracował podobnie - tylko że na oddziale wewnętrznym i z o wiele większym obciążeniem dyżurowym. Na jednym z dyżurów zauważyłam u siebie wyraźne pogorszenie słuchu prawego ucha. Po leczeniu przeciwzapalnym audiogramy były nadal złe. W związku z tym zostałam wysłana na dokładne badania diagnostyczne do kliniki laryngologicznej. Jeszcze przed wyjazdem ustaliliśmy z mężem, że każdy wynik przyjmujemy w prawdzie. Może to zupełnie nedorzeczne, ale tak trochę cieszyłam się tym, że wyjaśnią się przyczyny moich dolegliwości.

No i po wielu badaniach, uwiecznionych tomografią komputerową, dowiedziałam się. Diagnoza była groźna: guz mózgu, zlokalizowany w bardzo trudno dostępnej dla chirurgów okolicy (w

kącie mostowo-mózdkowym). Niestety, neurochirurgia polska raczkowała wówczas w tego typu operacjach. Tylko dzięki częstej obecności w kaplicy szpitalnej na modlitwie i Eucharystii mogłam przyjąć ten ciężar.

Nie dźwigałam go jednak sama. W domu została wdrożona codzienna modlitwa w mojej intencji. Dwa zaprzyjaźnione małżeństwa oraz bardzo często kapłan z naszej parafii, no i my z Januszem odmawialiśmy codziennie część różańca oraz Litanię do Miłosierdzia Bożego.

W związku z dużym zagrożeniem życia przyjął sakrament chorych. Równocześnie mąż usilnie dowiadywał się, gdzie mogłabym poddać się operacji. W tym też czasie, za sugestią i pod dużym naporem rodziny, zdecydowaliśmy się jeździć do bioenergoterapeuty.

Mój stan ogólny oraz ustąpienie wielu dolegliwości, jak również poprawa szeregu badań klinicznych (m.in. audiogramu) pozwalały przypuszczać, że guz uległ znacznemu zmniejszeniu. Moje siły zewnętrzne na tyle się poprawiły, że niektórzy znajomi nie mogli uwierzyć w diagnozę. Niestety, po wykonaniu kontrolnych zdjęć tomograficznych okazało się, że guz niebezpiecznie urósł.

Po wielu szczęśliwych "zbiegach okoliczności", na początku 1990 roku, trafiłam na oddział kliniki neurochirurgicznej, gdzie wcześniej zakupiono pierwszy w Polsce sprzęt do przeprowadzania tak skomplikowanych operacji.

Tymczasem Janusz porozsyłał modlitewne wici do wszystkich znajomych i przyjaciół. Później dowiedzieliśmy się, że i przyjaciele przyjaciół oraz znajomi znajomych modlili się za mnie i często ofiarowywali Msze św. I ja starałam się nie być beczynna.

Prawie codziennie chodziłam na Eucharystię (mimo kilkakrotnego ostrzeżenia, że w moim stanie chodzenie jest niebezpieczne). Po szczęśliwie przebytych dwóch operacjach, chociaż byłam przykuta do łóżka, cieszyłam się, że przez ręce kapelana mogę dostąpić łaski Komunii św. Okres pooperacyjny przebiegał bez żadnych komplikacji, moja radość zaczęła się jednak zmieniać w coraz to większy niepokój.

Dlaczego nie ma Janusza? Dotychczas odwiedzał mnie bardzo często... "Moi" lekarze w sposób pewny oznajmili, że mąż ma grypę i przecież nie może mnie zarazić. Wiedziałam już wcześniej, że nasza córka jest chora. Zdaniem męża nie było to nic poważnego, ale dla pewności oddał ją na oddział laryngologii dziecięcej pod fachową opiekę (pojechał w tym dniu na pogrzeb swojej babci).

Gdy dowiedziałam się, że córka została przewieziona do innej kliniki laryngologicznej, byłam pewna, że dzieje się coś złego, a ja jestem "dla mojego dobra" okłamywana. Telefonicznie wymogłam na mężu, aby przyjechał i przedstawił mi prawdę. Prawda była okrutna. Oboje z Januszem płakaliśmy w czasie rozmowy.

Córka leżała pod respiratorem, a jej życie wisiało na przysłowiowym włosku. Okazało się, że wskutek rażącego błędu lekarza - do którego się nie przyznał - doszło do masywnego krwotoku wewnętrznego z tętnicy szyjnej. Ale i to zło Pan Bóg potrafił zamienić w dobro przez łańcuch ludzi dobrej woli.

Kilkanaście osób w odpowiedzi na apel oddało natychmiast krew do transfuzji (brakowało jej, gdyż Majka ma bardzo rzadką grupę krwi - w Wojewódzkiej Stacji Krwiodawstwa było jej tylko 0,5 litra). Anestezjolog kliniki kardiochirurgii dziecięcej znieczulił ją do operacji, radiowozem policyjnym przywieziono na konsultację hematologa (była godzina szczytu), prywatnymi samochodami dowożono potrzebne materiały i leki.

W ciągu godziny przetoczono Majce 7 litrów krwi (u dziecka w jej wieku w żyłach płynie ok. 3 litrów) - do jednej żyły "pompowano", a z drugiej tętnicy fontanną wypływała. Cudem Opatrzności Bożej było zgromadzenie takiej ilości krwi - niemożliwością wydawało się pozyskanie chociaż 2 litrów? Ostatecznie po kilku operacjach znalazła się na oddziale intensywnej terapii.

Dopiero później dowiedziałam się, że Janusz w najbardziej krytycznym momencie całkowicie oddał jej życie Bogu ("Panie, jeżeli chcesz, zabierz ją – do Ciebie należy. Ale jak to wytłumaczyć Ewie?"). Zaraz w pierwszej dobie, gdy została odłączona od respiratora, zdecydowałam się wyjść z kliniki na własne żądanie. Było to w dwa tygodnie po operacji Majki.

Jej stan był opłakany - leżała w pajęczynie najróżniejszych rureczek, ale starała się uśmiechać do mnie i Janusza. Kolejne dni mijały, a Bóg czynił cud po cudzie w jej organizmie.

W maju, w normalnym terminie, przystąpiła do sakramentu pokuty i do I Komunii św.

Dziś, po latach, poza bliźniami, nic nie wyróżnia jej z grona rówieśniczek, chociaż wypisana była z kliniki z rozpoznaniem zawału prawej półkuli mózgu.

Chwała Panu!

Ale to nie był jeszcze koniec naszych prób... Moje bóle głowy stawały się trudne do wytrzymania, często wymiotowałam; nadwrażliwość na hałas, zapachy i światło sięgała zenitu. I kolejne badanie tomograficzne wykazało wznowę - guz, który według wiodącego anatomopatologa miał być niezłośliwy, wykazał swą bardzo dużą złośliwość lokalną... Wzrastał w zastraszający sposób.

Tymczasem mój Tata też się rozchorował... Nowotworowo... Widziałam, jak niknie w oczach i bardzo cierpi. Wszyscy płakaliśmy po kątach mieszkania. Jedyłą pociechą były częste wizyty kapłana z Panem Jezusem.

Udało się nam (Mamie, Januszowi i mnie) namówić Tatusia, aby wraz ze mną przyjął sakrament chorych. A potem - potem był pobyt Taty na oddziale chirurgicznym, operacja, która się udała... I również mój pobyt w "mojej" klinice neurochirurgicznej. Musiałam leżeć, brać leki, zastrzyki, kroplówki.

Ale jeszcze mogłam zachować minimum samodzielności - sama chodziłam do toalety (nawiasem mówiąc była obok sali), opierając się o ścianę i barierki łóżek. W drugiej dobie pobytu na oddziale dowiedziałam się od Janusza o śmierci Taty. Uparłam się, że pojedę na pogrzeb, choćby na wózek inwalidzkim. Ordynator oddziału, mąż i mój brat stryjeczny próbowali mi wyperswadować ten pomysł. Przeważyło stwierdzenie, że Tatuś na pewno nie chciałby, żebym takim zachowaniem jeszcze bardziej nadwątlila swoje mizerne siły.

Cóż, pozostała mi tylko modlitwa (albo aż modlitwa). Wołałam w duchu do Boga, że już **wystarczy tych prób**, a równocześnie prosiłam o siły do dalszego niesienia krzyża. Wiedziałam, że jest ze mną źle, lecz nie zdawałam sobie sprawy ze stanu zagrożenia życia.

Guz urósł do wielkości męskiej pięści (?!), wrastając w pień mózgu, a lekarze nie wierzyli w sens podjęcia operacji. Operowali mnie tylko ze względu na solidarność zawodową. Operacja trwała kilkanaście godzin.

Największą radość przeżyłam po otwarciu oczu, kiedy zobaczyłam przy swoim łóżku kapłana z Najświętszym Sakramentem i uśmiechniętego mego męża.

Potem przyszły szare dni, trudne i pełne nauki pokory. Byłam całkowicie zależna od innych, uczyłam się prosić. Po długim pobycie w klinice neurochirurgicznej otrzymałam skierowanie na oddział onkologii. W międzyczasie miałam trochę "urlopu" od białych fartuchów (od Wigilii Bożego Narodzenia do Nowego Roku). Moje siły psychiczne i fizyczne były bardzo nadwątlone. Do domu zostałam wniesiona przez męża i szwagra.

Znaleźli się ludzie, którzy zadbali o moją duszę - sprowadzono kapłana (trzeci raz przyjął sakrament chorych), modliły się nade mną osoby z Odnowy w Duchu Świętym i oczywiście codziennie był odmawiany różaniec.

I przyszedł bardzo trudny do przeżycia pobyt na onkologii. Panowała tam pełna lęku i beznadziejności atmosfera ciągle ocierał się człowiek o śmierć współ-pacjentów. Miałam przyjąć 30 dawek naświetlań tzw. bombą kobaltową. Od tych leczniczych promieni ginęły pozostawione po operacji komórki guza, ale również komórki skóry. Powoliłysiałam oraz niewiarygodnie traciłam siły.

Przy życiu podtrzymywała mnie tylko częsta Komunia św.

Mąż, walcząc o moją nadzieję, nagrał na taśmę magnetofonową fragmenty Ewangelii według św. Marka o uzdrowieniach. Przesłuchiwałam ją i ze smutkiem powtarzałam Panu – **A ja? O mnie zapomniałeś?**

Wreszcie nadszedł wytęskniony powrót do domu. Tu też nie obyło się bez próby...

Zaczęłam cierpieć na straszliwe drżenia głowy i rąk, które uniemożliwiały mi sen (głowa "podskakiwała" na poduszce) oraz przyjmowanie pokarmów i napojów (mąż karmił mnie przyciskając głowę do oparcia fotela). Zaburzenia polykania powodowały ciągle krztuszenie się. To było już powyżej granic mojej wytrzymałości.

Prosiłam Janusza o skrócenie mi cierpień, o podanie mi środka, który zakończy moje życie.

Na szczęście mąż nie "ulitował" się nade mną. Po wielu konsultacjach poprzedzonych modlitwą (wiele nauczyło nas medytowanie 38. rozdz. Mądrości Syracha) Janusz zmienił dawki i niektóre przyjmowane przeze mnie leki. Powoli drżenia zaczęły ustępować.

Bóg nie pozwolił mi umrzeć. Ulitował się nad dziećmi, mężem, rodziną. Okazał swe miłosierdzie i moc uzdrowienia.

Jezus żyje! Chwała Mu i cześć, i dziękczynienie!

To był początek naszego nowego życia, początek różnych przewartościowań. Mimo pozornej „degradacji społecznej” (z lekarza na rencistę I grupy inwalidzkiej i gospodynię domową, która na domiar złego nie potrafi sprostać wszystkim obowiązkom) jestem szczęśliwa.

Żyję dla Boga, dla dzieci i męża.

Minęło już 9 lat od tamtych wydarzeń.

Nawet nam trudno uwierzyć, jak wiele znaków uczynił Pan w naszym życiu.

Byłam osobą, która samodzielnie nie potrafiła usiąść w łóżku, nie mogła czytać (z powodu silnego oczopląsu), nie umiała się nawet podpisać i bełkotliwie mówiła.

Przez prawie niedostrzegalne działanie Boga (myśmy nie widzieli tego, lecz każda osoba z zewnątrz zauważała pozytywne zmiany w moim organizmie) już w 1992 roku mój stan zdrowia na tyle się poprawił, że mogliśmy z Januszem pojechać na rekolekcje.

Od tego czasu przynajmniej raz w roku odprawialiśmy je, pogłębiając naszą wiarę, nadzieję i miłość. Jesteśmy ciągle w drodze do miłosiernego Ojca i choć nieraz upadamy, podnosimy się wzajemnie i razem próbujemy iść dalej.

Ewa

Tyle świadectwo Ewy.

A ja ... zastanawiam się znowu: „**A ja, co ja zrobiłbym w takiej sytuacji? Czy starczyłoby mi wiary?**”

O wiarę trzeba się modlić ... Panie przymnóż nam wiary, zaradz niedowiarstwu naszemu.